

Dariusz SKÓRCZEWSKI

DYSKUTOWAĆ Z ARTYSTĄ CZYLI HUMANISTYKA W RUINIE

Esej nie tylko pro domo sua

Dlaczego humanistyka ustawicznie musi uzasadniać swe istnienie i przekonywać o swojej niezbędności dla współczesnego społeczeństwa? Z nakładów na dziedziny nauki, których końcowym efektem mają być „digitalizacja” i „społeczeństwo informacyjne”, nikt tłumaczyć się nie musi. Natomiast refleksja nad człowiekiem i światem jego kulturowych wytworów, nad historycznością jego istnienia i perspektywicznością jego poznania, tak bardzo potrzebna ludzkości na każdym kolejnym etapie cywilizacyjnego rozwoju, spotyka się z niezrozumieniem czy wręcz administracyjnymi obostrzeniami i ograniczeniami.

Niniejszy tekst nie ma charakteru opracowania stricte naukowego, chociaż nauki bezpośrednio dotyczy. Można go potraktować jako eseistyczny głos w niekończącej się dyskusji nad kondycją współczesnej humanistyki. Dyskusja, która toczy się u nas od lat dziewięćdziesiątych, na Zachodzie rozpoczęła się o dekadę wcześniej, przybierając formę debaty na temat kondycji i roli uniwersytetu w obliczu takich zjawisk i zagadnień, jak polityczna poprawność, polityka naukowa, wielokulturowość, relacja między wiedzą a władzą czy bankructwo projektu edukacji liberalnej. Przełomowym wydarzeniem, zamykającym pewien etap w debacie prowadzonej poza naszymi granicami, była głośna książka Billa Readingsa o wymownym tytule *The University in Ruins*¹.

Sam fakt, iż dyskusja o położeniu humanistyki ma u nas miejsce i (jeszcze) trwa, może nastrajać optymistycznie dlatego, że świadczy o istnieniu jej przedmiotu, czyli humanistyki. Nie oznacza jednak, że przedmiot ów ma się dobrze. Przeciwnie, obraz sytuacji polskiej humanistyki, jaki wyłania się z dziesiątek wypowiedzi na jej temat w prasie naukowej i popularnej, budzi raczej pesymizm. Niniejsza wypowiedź uderza w kasandryczną tonację, jaka cechuje wiele spośród tych wystąpień, choć jej poetyka nieco ów dramatyczny ton zaciera. Mam mimo to nadzieję, że nie zostanie odebrana jedynie jako powtórzenie też dobrze znanych, lecz także jako próba zarysowania własnego stanowiska, głównie w formie pytań pobudzających do refleksji nad tym, do-

¹ Zob. B. R e a d i n g s, *The University in Ruins*, Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, 1996.

kąd zabrnęliśmy w rozplątywaniu tego gordyjskiego węzła i co jeszcze można zrobić, by ocalić to, czego nie zdążono zniszczyć.

W styczniu tego roku we wszystkich niemal kanałach telewizyjnych wyświetlano reklamę znanej międzynarodowej marki spożywczej. Fabuła krótkiego klipu była kuriozalna: para zamawia w restauracji pieczeń szefa kuchni, a na talerzu otrzymuje... śledzia, i to w fabrycznym opakowaniu. Zaskoczeni klienci lokalu zgłaszają problem kelnerowi, który wykręca się przysłowiowym sianem, wzywając na odsiecz szefa kuchni. Dalszego ciągu łatwo się domyślić, nawiązuje bowiem do długiej tradycji dowcipów o kelnerach, aczkolwiek reżyser sięgnął w tym przypadku po oryginalną konwencję, rodem z innego gatunku. Oto szef, zdecydowanym krokiem kowboja przemierzającego saloon podchodzi do stolika i na pytanie mężczyzny (kobieta przez cały czas milczy), dlaczego zamiast zamówionego dania dostali to, co im zaserwowano, udziela odpowiedzi, która ucina wszelką dysputę: Chce pan dyskutować z artystą?

Uważam, że film ten – być może jeden z najbardziej niedorzecznych filmów reklamowych w historii gatunku, prawdopodobnie wywołujący efekt odwrotny do zamierzonego – można potraktować jako przypowieść o sytuacji współczesnej humanistyki akademickiej. Nie tylko zresztą polskiej, zjawiska bowiem, jakie w niej zachodzą, są częścią przemian cywilizacyjnych, kulturowych i ekonomicznych w całym tak zwanym zachodnim świecie. Mimo to jednak odnosi się nieodparte wrażenie – zwłaszcza w konfrontacji z uczonymi na przykład z Niemiec – że to, co dzieje się pod wpływem owych przemian na naszym własnym podwórku, czyli w polskich uniwersytetach, przybiera często formy tak groteskowe, jakbyśmy prześcigali się w powielaniu najgorszych biurokratycznych wzorów, przy których historyczne zmagania z ograniczeniami wolności nauki narzuconymi przez komunistyczny reżim jawią się w najlepszym razie jako dziecinna zabawa. Myślę przede wszystkim – by kontynuować wywód w kuchenno-restauracyjnej retoryce – o pieczeni, jaką pitraszą w swoich gabinetach urzędnicy Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod okiem i za wiedzą swojego obecnego „szefa kuchni” – niegdyś „kelnera” w „restauracji”, ale oczywiście również wcześniejszych „szefów”, którzy przez lata budowali „markę” swojego „lokalu”. Efektem pracy urzędników jest „pieczeń szefa kuchni”, która w bohaterach klipu budzi zaskoczenie, w widzach jednak przede wszystkim konsternację i irytację, najogólniej rzecz ujmując. Kto bowiem, licząc na smakowite, dymiące mięsiwo, ucieszy się na widok śledzia w śmietanie, i to w sklepowym opakowaniu?

A jednak pracownicy ci pod kierownictwem ministra robią dobrą minę do złej gry, tak jak dobrą minę robi Michel Moran w roli szefa kuchni w reklamie Lisnera. Im lepsza mina, tym gorszy efekt końcowy... Efekty zaś widzimy co rusz jak na dłoni, patrząc na to, co dzieje się na wydziałach humanistycznych, filologicznych, historycznych i filozoficznych polskich uniwersytetów. A co się

tam dzieje? Owszem, wre robota, lecz nie koncepcyjna, posuwająca naprzód badania naukowe, ale tabelaryczno-papierkowa, drenująca ad absurdum siłę środowiska. Środowisko to z roku na rok absorbowane jest dostosowywaniem programów studiów i sylabusów do aktualnie obowiązujących wytycznych ministerialnych, które – a jakżeby inaczej – nie stwarzają miejsca na oryginalną twórczość w tym zakresie, lecz przeciwnie, wymagają bezwzględnego dostosowania języka opisu do jedyne go dozwolonego wzorca, zgodnego ze schematem i terminologią przyjętą w nakazowo-rozdzielczym systemie władzy, sprawowanej przez urzędników Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Tym, którzy pamiętają peerel, nie mogą w związku z tym nie przypomnieć się fatalne wzorce, wcielane wówczas na każdym „odcinku” życia społecznego. Czyżbyśmy mieli do czynienia z jakimś stałym, iście piekielnym biurokratycznym determinizmem, podnoszącym do kwadratu, a może i sześcianu te sprawy, które mogłyby biec normalnym trybem, gdyby pozostawiono je w rękach władz i pracowników uczelni? Z jakąś osobliwą spćcialitć polonaise, która to, co w innych miejscach na ziemi funkcjonuje może nie idealnie, ale w miarę znośnie, u nas obraca w maszynerię sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem, horrendalnie utrudniająca życie wszystkim, od rektora i dziekanów, po świeżo rekrutowanych studentów – bezbronne, pozbawione głosu ofiary w ostatnim ogniwie tego procesu? A przecież to, o czym tu wspomniałem, stanowi zaledwie czubek góry lodowej, reszta pływa, ukryta głębiej pod powierzchnią.

ZWYCIĘSTWO NOMINALIZMU?

Zdaję sobie sprawę, że stwierdzenie, iż wszystkim winne jest ministerstwo, to teza tyleż mocna, co banalna, a przy tym można jej zarzucić, że upraszcza sprawy trudne i skomplikowane. Zapewne jednak niemal wszyscy, którzy śledzą (ach, znowu te śledzie!) proces przebudowy systemu kształcenia wyższego w Polsce w ostatnich latach, a zwłaszcza ci, którzy są w ten proces bezpośrednio zaangażowani jako jego przedostatnie ogniwo, czyli pracownicy naukowo-dydaktyczni, zgodzą się w jednym: coraz to nowe, z roku na rok implementowane pomysły ministerialnych urzędników na „transfer wiedzy”, „świadczanie usług edukacyjnych” na (rzekomo) coraz to wyższym poziomie czy zbiurokratyzowanie nauczania akademickiego poprzez „definiowanie” jego „standardów”, jak to określa urzędnicza nowomowa, reformują polskie uniwersytety jedynie kosmetycznie. Są to działania pozorne, bo niewątpliwie potrzebna reforma dokonuje się tu poprzez zaklinanie rzeczywistości za pomocą słów. Można wręcz mówić o swego rodzaju zwycięstwie nominalizmu, który z obszaru myśli naukowej, gdzie chętnie ulegli mu postmoderniści, przeniósł się, niestety, na teren zarządzania nauką. Problem tylko w tym, że

choć w nauce nominalizm można potraktować – z perspektywy nazwanej przez Alasdaira MacIntyre’a „tradycją”² – jako intelektualną ekstrawagancję, która wszak nie jest „niewinna”, bo prowadzi do katastrofalnych dla epistemologii skutków, podważając kategorię prawdy, to w dziedzinie zarządzania nauką nominalistyczny styl myślenia przyniósł co najmniej równie zatruty owoc w postaci ustanawiania rzeczywistości metodą administracyjną, poprzez ujmowanie jej w uniformizujące tabele opisujące tak zwane zestandaryzowane efekty kształcenia. To, co w zamierzeniu służyć miało zwiększeniu konkurencyjności polskich uniwersytetów w Europie i świecie, przenieść je na wyższe pozycje w rankingach, a także wzmocnić tak zwaną mobilność studentów dzięki możliwości transferu punktów kredytowych, obrócone zostało w instrument opresji uniwersytetu jako instytucji, jak również jego kadry naukowo-dydaktycznej. Tajemnicą poliszynela jest, że rok w rok marnotrawstwu ulega olbrzymia ilość energii profesorów, dyrektorów instytutów, szefów katedr i ich podwładnych, którzy tygodniami ślęczą nad przebudową programów studiów i konstruowaniem nowych, by z jednej strony ocalić swoje instytucje i etaty, z drugiej zaś dopasować to, co przecież i tak robią od lat, do mdłego języka przepisów, próbując nadażyć za szalonym tempem mielenia nieubłaganych młynów maszyny nadzorowanej przez ministra nauki.

Potężny ten wysiłek okazuje się najczęściej w całości lub częściowo daremny, a jedyne jego efekty to chwilowe ocalenie „stanu posiadania” i względny spokój przez jeszcze jeden rok akademicki, by przed rozpoczęciem kolejnego ponownie balansować, niczym cyrkowiec na linie, między wynikiem rekrutacji (niżem demograficznym), limitem przyjęć i minimami liczebności grup a konstrukcją pensum. Frustrację lokalną sytuacją wzmaga gorzycz spowodowana poczuciem braku zrozumienia ze strony państwowych urzędników dla specyfiki i potrzeb humanistyki, a przede wszystkim niedostrzegania jej kluczowego znaczenia dla kondycji umysłowej i moralnej oraz rozwoju społeczeństwa, również tego „informacyjnego opartego na wiedzy”. Odstawianie na boczny tor, traktowanie niepriorytetowe wbrew różnym hasłom i zapewnieniom to standardowe metody polityki wobec dyscyplin humanistycznych. Za jeden z symboli tego lekceważenia można uznać fakt, że dopiero po czterech latach od powstania (w lutym 2011 roku) Narodowy Program Rozwoju Humanistyki – flagowy program naprawy i poprawy kondycji tego sektora nauki – doczekał się własnej witryny internetowej³. Innych dowodów dostarcza regularnie samo życie. Oto na przykład na Kongres Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej (3 lutego bieżącego roku) zamiast zaproszonej minister nauki prof. Leny

² Zob. A. MacIntyre, *Three Rival Versions of Moral Enquiry: Encyclopaedia, Genealogy, and Tradition*, University of Notre Dame Press, Notre Dame, Indiana, 1990.

³ Zob. *Narodowy Program Rozwoju Humanistyki*, www.nprh.org.

Kolarskiej-Bobińskiej przybył oddelegowany niższy urzędnik resortu, zdolny jedynie do skomentowania postulatów obradujących przymiotnikiem „ciekawe”.

Nie dziwi przeto, że wielu pracowników naukowych polskich uniwersytetów ma świadomość trwałego upośledzenia i rosnącej podrzędności humanistyki. Poczucie to nie jest, oczywiście, wyłącznie efektem niedostatków dotychczasowej polityki informacyjno-komunikacyjnej. Ma ono również źródło w wyraźnym faworyzowaniu studiów technicznych i przyrodniczych, zarówno w nakładach na naukę, jak i w konkursach grantowych. Uczestnicy tych konkursów reprezentujący nauki humanistyczne, ażeby uzyskać finansowanie, prześcigają się w pomysłach na sprostanie kryteriom zastosowania i innowacyjności wyników badań. Pierwsze kryterium z punktu jawi się jako nieprzystające do wielu projektów badawczych w zakresie filozofii, literaturoznawstwa i innych dziedzin (w jakiej mierze na przykład wyniki reinterpretacji tekstów literackich mogą znaleźć „zastosowanie”, o jakim myślał grantodawca wcześniejszych edycji konkursów?) i wydaje się, że obecna Rada NPRH pod przewodnictwem prof. Ryszarda Nycza celowo – i szczęśliwie – z niego zrezygnowała. O fortunności drugiego kryterium w odniesieniu do humanistyki można i trzeba dyskutować⁴. Wysuwa się ono na pierwszy plan w aktualnie ogłoszonym konkursie NPRH (moduły „Rozwój” 2.a i „Rozwój” 2.b), co skłania do pytań o przesłanki preferowania projektów, które wypracowują „nową formułę badawczą (powtarzalną procedurę, niebędącą aplikacją istniejących metod lub teorii)”, promują i twórczo rozwijają „nowe subdyscypliny badań humanistycznych” czy też proponują „nową dziedzinę przedmiotową lub subdyscyplinę badawczą”⁵. Czyżby humanistyka istotnie osiągnęła stan, w którym wypracowane dotąd metodologie, teorie i modele badań – mówiąc potocznie – zużyły się i zdezaktualizowały, wyczerpawszy swój potencjał eksploracyjno-eksplikacyjny i utraciwszy poznawczą wartość? Czy za działaniami kreatorów nauki – bo przecież grantodawczy decydenci odgrywają dziś rolę głównych animatorów przeobrażeń w poszczególnych obszarach badań – nie stoi czasem, ukryty pod magiczną formułą „innowacyjność”, bożek pogoni za

⁴ Koncepcję innowacyjnych badań literackich przedstawił na ostatnim Zjeździe Polonistów Ryszard Nycz (zob. R. N y c z, *W stronę innowacyjnej humanistyki polonistycznej: tekst jako laboratorium. Tradycje, hipotezy, propozycje*, w: *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2013, s. 105-124). Interesującą polemikę z Nyczem przeprowadził Stefan Sawicki (zob. S. S a w i c k i, *Uwagi o „innowacyjnych” i „czynnościowych” badaniach literackich*, „Teksty Drugie” 2015, nr 1, s. 392-403).

⁵ *Konkurs o finansowanie projektów badawczych w ramach NPRH – modul „Rozwój” 2.a*, <http://www.nauka.gov.pl/komunikaty/konkurs-o-finansowanie-projektow-badawczych-w-ramach-nprh-modul-rozwoj-2-a.htm>. Zob. też: *Konkurs o finansowanie projektów badawczych w ramach NPRH – modul „Rozwój” 2.b*, <http://www.nauka.gov.pl/komunikaty/konkurs-o-finansowanie-projektow-badawczych-w-ramach-nprh-modul-rozwoj-2-b.html>.

nowatorstwem za wszelką cenę? Można powiedzieć: nadzieja w kompetencji i doświadczeniu recenzentów, reprezentujących przecież daną dyscyplinę i jej interesy. Nie sposób jednak nie dostrzec, że w skali globalnej polityka finansowania projektów naukowych poprzez eksponowanie jednych parametrów badań – definiowanych jako „innovacyjne” i proklamowanych jako pożądane z punktu widzenia ciała grantodawczego – przy jednoczesnym eliminowaniu innych nie tylko w oczywisty sposób modeluje kierunek rozwoju poszczególnych dziedzin nauki, lecz stwarza realną możliwość ingerowania w dalsze ich losy. Niebezpieczeństwo to w odniesieniu do obowiązującego modelu finansowania badań poprzez granty istnieje zawsze i stanowi ryzyko wpisane w system zarządzania nakładami na naukę. Ważne jest, by potencjalnym niepożądanym skutkiem tego ryzyka zapobiec na możliwie najwcześniejszym etapie⁶. Stawia to przed decydentami wymóg wzmożonej ostrożności, pieczołowitości i autentycznej troski o kondycję i rozwój poszczególnych dziedzin wiedzy – rozwój jednak pojmowany nie w kategoriach urzędowo definiowanego i egzekwowanego „nowatorstwa”, a szerzej, na przykład z uwzględnieniem rodzimych tradycji dyscypliny czy przedmiotowej specyfiki (takiej, jak chrześcijański wymiar polskiej kultury).

IMPERATYW INNOWACYJNOŚCI?

Nie kwestionuję znaczenia innowacyjności w zakresie teorii i metodologii badań naukowych. Uważam jednak, że imperatyw ten nie wyczerpuje możliwych kierunków rozwoju istniejących dyscyplin ani też nowych subdyscyplin naukowych, a jedynie stanowi jeden ze stymulatorów temu celowi służących. Ingerowanie w rozwój dziedziny nauki poprzez absolutyzację kryterium innowacyjności może w skrajnych przypadkach prowadzić do atrofii i uwiędnięcia wartościowych nurtów badań oraz pozostawienia odłogiem niezagospodarowanych dotychczas pól – bądź wydania ich „na pastwę” innych, uprzywilejowanych jako spełniające owo kryterium ujęć i metodologii. Uznanie innowacyjności

⁶ Na osobną dyskusję, wykraczającą poza ramy tego eseju, zasługuje sam model finansowania badań, zwłaszcza w zakresie nauk humanistycznych, poprzez tak zwane projekty. Praktyka ta, mimo że dziś powszechna, nastrocza wątpliwości natury zarówno etycznej, jak i epistemologicznej, a więc dotyczącej samej istoty i sensu uprawiania nauki. Grantobiorcy jako beneficjenci systemu finansowania udzielają bowiem zasadniczej akceptacji dla wytyczonego regułami konkursu kierunku rozwoju reprezentowanej przez siebie dziedziny, co może wiązać się z presją reorientacji, przebudowy czy nawet zaniechania prowadzonych badań – presją o niekoniecznie merytorycznym dla danej dziedziny nauki podłożu. Dostosowują program swoich badań, spodziewane rezultaty, a nawet taksonomię do kryteriów konkursu. Dwuznaczność tej sytuacji skłania do postawienia znaku zapytania nad suwerennością humanistyki jako nieskrępowanej refleksji nad człowiekiem i jego wytworami, podejmowanej w strukturze uniwersytetu.

za absolutną czy też po prostu centralną wartość badań naukowych oznacza, że nie ma już miejsca na prace, które kompetentnie i rzetelnie wykorzystują metody określone obecnie (tu miejsce na niepokojącą arbitralność) jako „nie-innowacyjne” – nawet jeśli jeszcze niedawno te same metody uznawano za odkrywcze i poznawczo doniosłe, a problematykę dzięki nim eksplorowaną za pierwszorzędnej doniosłości, jak na przykład badania nad sacrum w literaturze i kulturze czy aksjologia literacka.

Nasuwa się w związku z tym pytanie: Czy w świetle obecnych kryteriów jest jeszcze miejsce na „badania środka”, że tak je metaforycznie nazwę? Badania niekoniecznie nastawione na radykalne nowatorstwo w aspekcie metody, niekoniecznie lansujące nową teorię (to kolejny bożek post-ponowoczesnej humanistyki) czy kreujące nową subdyscyplinę, lecz „jedynie” prowadzące do opisanego wyodrębnionego przez siebie przedmiotu za pomocą języka wypracowanego przed jedną czy dwiema dekadami? Czy osiągnięcia polskich literaturoznawców w zakresie teoretyzacji badań nad wspomnianymi wyżej zagadnieniami – by pozostać przy przykładach z własnego podwórka (polonistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II) – miałyby pozostać już tylko w annałach dziejów polskiej nauki z tego powodu, że badania nad sacrum nie zostaną obecnie uznane przez ciało grantodawcze za problemy „o pierwszorzędnym znaczeniu dla budowania wiedzy zorientowanej na przyszłość”⁷? (Hipoteza ta wydaje się uzasadniona zarówno formalną konstrukcją konkursu, jak i przesłankami ideologicznymi, wynikającymi z obserwacji naukowej codzienności – mam wszelako nadzieję, że rzeczywistość ją sfalsyfikuje). Co wówczas z troską o kontynuację rodzimej myśli naukowej? Pewną pociechą napawa umieszczenie wśród kryteriów bieżącego konkursu NPRH *Rozwój* fakultatywnego warunku, że projekt musi „w twórczy sposób podejmować tradycje polskich badań humanistycznych o wartości bezspornej w perspektywie porównawczej”⁸. Kryterium to wymieniono jednak na ostatniej pozycji, podporządkowując je nadrzędnemu wymogowi innowacyjności, co czytelnie sygnalizuje dominujący trend i nie uśmierza związanych z nim obaw.

Od tych pytań można przejść do kolejnych, ściśle już związanych z realnym przebiegiem administrowania nauką w Polsce. Sam fakt, że trzeba dziś te pytania stawiać, wiele mówi o kondycji państwa i społeczeństwa, którego demokratycznie wyłonieni reprezentanci nie rozumieją spraw, zdawałoby się, zupełnie podstawowych. Dlaczego humanistyka ustawicznie musi uzasadniać swe istnienie i przekonywać o swojej niezbędności dla współczesnego społeczeństwa, w którym stechnicyzowanie i cyfryzacja stanowią niejako „domyśl-

⁷ *Konkurs o finansowanie projektów badawczych w ramach NPRH – modul „Rozwój” 2.a.*

⁸ Tamże.

ne ustawienia”, czyli niekwestionowane parametry egzystencji jego członków i całej populacji? Z nakładów na te dziedziny nauki, których końcowym efektem mają być, ujęte w kolejne, magiczne formuły: „digitalizacja” i „społeczeństwo informacyjne”, nikt tłumaczyć się nie musi. Natomiast refleksja nad człowiekiem i światem jego kulturowych wytworów, nad historycznością jego istnienia i perspektywicznością jego poznania, tak bardzo potrzebna ludzkości na każdym kolejnym etapie cywilizacyjnego rozwoju, spotyka się z niezrozumieniem czy wręcz administracyjnymi obostrzeniami i ograniczeniami.

A przecież to nie humanistyka uniwersytecka jest źródłem wszystkich tych problemów. Nie ona jest powodem do wstydu. Nie w niej tkwi patologia. Patologią jest przesąd – i oparte na tym przesądzie działania instytucjonalne – że badania humanistyczne mają przynosić wymierne i stosowalne wyniki, a dydaktyka przedmiotów humanistycznych podlegać winna parametryzacji.

Bez wątpienia, uniwersytecka humanistyka znalazła się dziś w pułapce zastawionej na nią przez kulturę scjentystyczną. Na horyzoncie tej kultury leży industrialno-komercyjna instrumentalizacja wszystkiego, z czym się zetknie, a ona sama, pozbawiona zrozumienia dla spraw ludzkich, podstawiła w ich miejsce pragmatyczną etykę mierzalnych potrzeb i mierzalnych zastosowań. Kultura ta zapomniała, że „sam człowiek jest właściwą nauką człowieka”⁹. Ponownie daje tu o sobie znać hegemonia nauk przyrodniczych i technicznych w podejściu do administrowania nauką. Zarówno w biurach decydentów, jak i – niestety coraz częściej – przez samych przedstawicieli tych nauk są one traktowane jako paradygmatyczne dla innych obszarów wiedzy, parametryzowanych za pomocą kryteriów, które rozmiągają się z ich swoistym charakterem. Nie napawają też optymizmem nieprzemyślane wypowiedzi osób odpowiedzialnych za finansowanie polskiej nauki, jak na przykład prof. inż. Andrzeja Jajszczyka, który podczas wspomnianego Kongresu pozwolił sobie na osobistą „wycieczkę” pod adresem polskich humanistów, zarzucając im samym zaściankowość, a wielu ich projektom badawczym – bezsensowność. Wewnętrzne rozbitcie, wręcz polaryzacja środowiska naukowego wobec tak fundamentalnych spraw, jak zajęcie spójnego stanowiska w kwestii nawet nie rozwoju, a przetrwania humanistyki, z pewnością nie sprzyjają ani poprawie jej kondycji, ani ethosowi naukowca. Ten zaś, jak wiadomo, w obliczu nagłaśnianych regularnie przez media awantur wokół plagiatów tudzież publicznych wypowiedzi niektórych profesorów trwoniących swój autorytet ludzi nauki poprzez zacietrzewienie czy wręcz wulgarne wypowiedzi na tematy polityczne i ideologiczne, uległ ostatnio silnej erozji.

⁹ A. P o p e, *Wiersz o człowieku*, „List II”, tłum. L. Kamiński, t. 2, w: *Poeci języka angielskiego*, oprac. H. Krzeczkowski, J.S. Sito, J. Żóławski, PIW, Warszawa 1971, s. 44.

KU ZMIANIE CZY KU LIKWIDACJI?

Biorąc pod uwagę opisany tu klimat, jaki otacza u nas humanistykę, należy chyba się cieszyć, że są jeszcze w ogóle młodzi ludzie, którzy decydują się na studiowanie filologii polskiej i klasycznej, historii i filozofii. Bez względu bowiem na starania, zarówno merytoryczne (jak nowe, atrakcyjne kursy, moduły specjalizacyjne czy zajęcia w języku angielskim), jak i „piarowskie”, podejmowane przez pracowników odnośnych instytutów, coraz mniej abiturientów – tak w liczbach bezwzględnych, jak i proporcjonalnie – wybiera studia humanistyczne, tyleż kierując się racjonalnym podejściem do życia i własnej przyszłości, co ulegając dominującemu dyskursowi medialnemu głoszącemu, że „nie warto”. Humanistyce skutecznie przyprawiony został wizerunek zbytecznej w praktycznym życiu ekstrawagancji, na którą pozwolić sobie mogą nieliczni, i operacja ta musiała w końcu odsonić swoje konsekwencje.

Oczywiście, nie jest to wyłącznie polska specyfika. Podobny trend zaobserwować można w innych krajach europejskich, a także w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii i Nowej Zelandii. W Polsce jednak przybrał on postać zatrważającą. Humanistyka jest u nas systemowo traktowana – w strukturze nakładów na naukę, programów finansowania, a także, niestety, w strukturze zarządzania uniwersytetem – jako obszar nieproduktywny, cywilizacyjnie nieistotny, swego rodzaju „zło konieczne”, które trzeba utrzymywać, lecz minimalnym nakładem środków, dopóki korzystne będzie stwarzanie pozorów troski. Konsekwencją tego myślenia jest systematyczne ograniczanie oferty zajęć fakultatywnych, między innymi poprzez likwidację kursów o liczbie uczestników mniejszej od minimalnej przy przebiegłym zastosowaniu rozmaitych, lecz zawsze niekorzystnych dla studentów i pracowników, przeliczników. Trudno nie dostrzec w tym dobrowolnej utraty największego atutu programu akademickiego, jakim są nieduże grupy – odwrotnie do tendencji panujących w krajach, do których poziomu cywilizacyjnego podobno, przynajmniej nominalnie, aspirujemy. Taki kierunek „reformy” szkolnictwa wyższego zagraża wręcz dalszemu instytucjonalnemu istnieniu studiów historycznych, jak również filologii narodowej, a to między innymi wskutek równoległego procesu eliminowania ze szkół przedmiotu historia i towarzyszącego temu uwiądnięciu literatury i języka ojczystego. W czasach, w których licealiści nie muszą wykazać się przeczytaniem praktycznie żadnej książki w całości, a kanon lektur szkolnych de facto przestał istnieć, coraz mniej potrzebni stają się poloniści. Ci, którzy pozostaną w zawodzie, będą zapewne musieli przekwalifikować się w końcu w specjalistów od seriali, gier komputerowych, mediów społecznościowych i blogów. Czy to aby na pewno odległa perspektywa w sytuacji, gdy dyplom maturalny nie oznacza już nawet minimalnego stopnia uczestnictwa we wspólnocie kultury narodowej, ta bowiem – wraz

z drastycznym okrojeniem programu literackiego i szczątkową edukacją historyczną – zostaje ze szkół praktycznie niemal zupełnie wypchnięta?

Opisana frustracja byłaby mniejsza – a przecież pracownik sfrustrowany nie jest tak (*excusez le mot*) wydajny, jak ten, komu zapewniono minimum psychicznego komfortu – gdyby w obliczu tych, głównie zewnętrznej przecież natury, utrudnień i fluktuujących uregulowań uniwersytet – jako solidarne środowisko, zdolne stanąć w obronie zagrożonych imponderabiliów, i jako instytucja – zapewnił kadrze akademickiej: (1) pomoc poprzez zajęcie wobec utopijnych projektów uzależniającego finansowanie nauki od wdrożeń i zastosowań przemysłowych zdecydowanego, realistycznego, antybiurokracyjnego stanowiska opartego na (2) trosce władz uczelni i całego środowiska o niezmiennie wysoki poziom badań i nauczania, uzupełnionej o (3) solidną i „trzymaącą rękę na pulsie” obsługę administracyjno-prawną ze strony odpowiednich agend uczelnianych, kompetentnie i wszechstronnie analizujących stan rzeczy i dostarczających propozycji rozwiązań satysfakcjonujących dla uniwersytetu jako wspólnoty akademickiej. Umożliwiłoby to stworzenie swego rodzaju buforu bezpieczeństwa, który z jednej strony pozwoliłby elastycznie dostosowywać strukturę programów studiów do zmieniających się potrzeb i okoliczności, bez gwałtownych, rewolucyjnych (czytaj: destrukcyjnych dla uniwersytetu i ciągłości jego funkcjonowania) posunięć, z drugiej zaś – zagwarantował przewidywalność bliższej i dalszej przyszłości poszczególnych jednostek w obrębie uniwersytetu, co nabiera szczególnej wagi w czasach kryzysu spowodowanego niżem demograficznym. Tak jak zwolnienie pracowników fabryki jest pierwszym krokiem do jej likwidacji, tak pozbywanie się przez uniwersytet asystentów i adiunktów – bo ich przede wszystkim dotyczą redukcje etatów – przy całkowitej blokadzie nowych stanowisk i niegodnych uniwersytetu umowach „śmieciowych”, być może przynoszące doraźnie znikome oszczędności, w dłuższej perspektywie uderzają w żywotne interesy i przyszłość samego uniwersytetu. Utraconej kadry nie da się bowiem odtworzyć, a odbudowanie środowiska opartego na realnej wspólnotcie – co w przypadku KUL od początku stanowiło o jego sile i było powodem do dumy dla jego pracowników, a we współczesnym świecie jest dobrem nader rzadkim – praktycznie nie wchodzi w dzisiejszych czasach w grę.

Niestety, jak wiadomo, praktyka na większości polskich uczelni stanowi przeciwieństwo wspomnianych tu udogodnień. Kadra akademicka regularnie bombardowana jest informacjami, nierzadko *post factum*, o nowych regulacjach i wymogach, z których implikacji dla przyszłości uczelni, dla funkcjonowania jej jednostek naukowo-dydaktycznych mało kto zdaje sobie sprawę. Znajomość prawa o szkolnictwie wyższym i innych aktów prawnych, jak również ich interpretacji, niezbędna do natychmiastowego znajdowania rozwiązań, a także do długofalowego planowania działań uczelni, pozostaje

w naszym kraju wiedzą ezoteryczną, dostępną nielicznym, na ogół zresztą zatrudnionym przez ministerstwo specjalistom, których działania odsłaniają swoje skutki często ze znacznym opóźnieniem. Dlatego uniwersytetom tak trudno jest reagować na wprowadzane zmiany prawne w sposób konstruktywny i rozumiały zarówno dla wykładowców, jak i studentów, którzy także przecież ponoszą wymierne straty wskutek polityki MNiSW, prowadzącej między innymi do pozbawiania ich de facto możliwości wyboru pożądaných kursów z puli zajęć dodatkowych.

EWOLUCJA UNIWERSYTETU?

Wszystko to nie dzieje się, oczywiście, w społecznej ani intelektualnej – i szerzej, kulturowej i cywilizacyjnej – próżni. Warto przywołać *passus* wspomnianej książki Readingsa, który ukazuje problem nauki w kontekście dość rzadko u nas dyskutowanym, być może – po części – za sprawą dominującego lewicowego dyskursu medialnego, a może także wskutek odmiennej drogi, jaką podążała polska nauka w porównaniu na przykład z amerykańską: „Obecna zmiana roli Uniwersytetu wynika przede wszystkim ze zmierzchu misji kultury narodowej, która dotychczas zapewniała mu *raison d'être*, i uważam, że perspektywa Unii Europejskiej stawia europejskie uniwersytety w podobnym horyzoncie, zarówno w krajach Unii, jak i w Europie Wschodniej, gdzie projekty pokroju tych realizowanych przez George’a Sorosa zarysowują identyczne oddzielenie Uniwersytetu od idei państwa narodowego. Związłe rzecz ujmując, Uniwersytet staje się innego typu instytucją, niepołączoną już z celem państwa narodowego, realizowanym dzięki roli państwa jako twórcy, obrońcy i krzewiciela idei kultury narodowej. [...] Uniwersytet staje się transnarodową, zbiurokratyzowaną korporacją, bądź to powiązaną z transnarodowymi formami rządów, jak Unia Europejska, bądź funkcjonującą niezależnie, analogicznie do transnarodowych korporacji”¹⁰.

Cytat ten nasuwa dwa pytania. Po pierwsze: czy proces owego „rozłączania” już się w Polsce zakończył? (Troskę o inne kraje Europy pozostawmy na razie ich mieszkańcom). I po drugie: jeżeli tak – a można to wywnioskować choćby na podstawie programów studiów polonistycznych (i nie tylko tych programów) na różnych uniwersytetach – to skąd, jeśli nie z uniwersytetu właśnie, projekt przekazu kultury narodowej poprzez szkołę winien czerpać oparcie? Czy Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego jako agenda rządowa odpowiedzialna nie tylko za finansowanie publicznych uniwersytetów, ale też za ich funkcjonowanie zgodnie z odnośną ustawą – a więc pośrednio

¹⁰ Readings, dz. cyt., s. 3 (tłumaczenie fragmentu – D.S.).

również za realizowane w nich programy dydaktyczne – bierze pod uwagę narodowy kontekst funkcjonowania instytucji uniwersytetu? Czy sami naukowcy, a w szczególności humaniści, podejmują obecnie refleksję nad rolą nauki dla egzystencji narodu? Czy uniwersytet ma dziś w ogóle dla narodu jakieś znaczenie? I odwrotnie, naród dla uniwersytetu?

Stanowisko wobec tej kwestii zajęła niedawno nie wprost minister nauki prof. Lena Kolarska-Bobińska. Podczas otwarcia zeszłorocznego Kongresu Kultury Akademickiej w Krakowie powiedziała: „Uniwersytet, który ma pełnić rolę służebną wobec demokratycznego społeczeństwa, musi uczyć otwartości, tolerancji, zasad mądrej debaty, zrozumienia dla innych, obcych”¹¹. Polityczne frazy, z których ulepione zostało przytoczone zdanie („otwartość”, „tolerancja”, „zrozumienie dla innych”) nie budziłyby może takiej konsternacji, gdyby nie padły z ust profesora uniwersytetu i nie były skierowane do społeczności akademickiej. Rezygnuję jednak z rozwijania tego wątku, interesuje mnie bowiem co innego. Otóż w świetle wypowiedzi profesor Kolarskiej-Bobińskiej w rozumieniu rządu to społeczeństwo, a nie naród jest horyzontem działań podejmowanych na niwie nauki. To perspektywa dość odległa od tego rozumienia misji uniwersytetu, jakie przyświecało KUL-owi, który nawet w najtrudniejszych latach powojennych chciał „uczestniczyć w rozwoju polskiej myśli naukowej”, a działalność dydaktyczną pojmował „jako wkład w oświatę narodu”¹². Czy stanowisko wysokiego urzędnika państwowego w tej sprawie można z perspektywy dzisiejszych wyzwań uznać za zadowalające? Czy można na nim budować program odnowy względnie naprawy polskiej humanistyki?

Po latach zaniedbań i działań destrukcyjnych dla nauki w ogóle, a dla humanistyki w szczególności (bez względu na przyświecające ich autorom intencje), trudno oczywiście spodziewać się nagłej zmiany „na lepsze”. Machina biurokratyczna ruszyła i trudno będzie ją zatrzymać, a tym bardziej odwrócić jej bieg. Zwłaszcza że – zważywszy na kierunek, w jakim od lat ewoluuje humanistyka w całym zachodnim świecie – trudno od samych przedstawicieli nauki, funkcjonujących w światku swoich dyscyplin, rozproszonym, zdecentrowanym i ogarniętym epistemologicznym zwątpieniem i kryzysem kategorii prawdy, oczekiwać jakiegось eksplozji nadświadomości, która zaowocowałaby postawieniem pytań o rolę nauki w kontekście narodowej egzystencji. Naiwność jest tu niewskazana: systemowe rozwiązania tej kwestii nie nastąpią i trzeba się z tym pogodzić. Dla uniwersytetu i jego kadry naukowo-dydaktycznej nie oznacza to jednak przymusowego dostosowania się do panującego

¹¹ Kongres Kultury Akademickiej z udziałem minister nauki [20 III 2014], <https://www.nauka.gov.pl/aktualnosci-ministerstwo/prof-lena-kolarska-bobinska-na-kongresie-kultury-akademickiej.html>.

¹² S. S a w i c k i, *O uniwersytecie katolickim*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2012, s. 12n.

obecnie trendu. Dla wielu przedstawicieli świata nauki stało się już chyba dostatecznie jasne, że ingerencja biurokratów w pracę, a także w samą tkankę uniwersytetu posunęła się zbyt daleko, procedury zaś, którymi – rzekomo ze względu na magiczną klauzulę: „przepisy unijne” – muszą kierować się poszczególne jednostki administracyjne, powodują dławienie się uniwersytetu w miejsce obiecanego gładkiego funkcjonowania.

Nie chodzi jednak tylko o zarządzanie uczelnią. Problem dotyczy również innych aspektów parametryzacji, takich jak na przykład kryteria oceny pracowników. Abstrahuję w tym momencie od obecnej, dość osobliwej sytuacji, w której pracownicy naukowo-dydaktyczni podlegają dwustronnej ocenie: władz uczelni i studentów, podczas gdy pracownicy administracyjni – stanowiący personel pomocniczy, zważywszy na główną ideę uniwersytetu – nie są oceniani przez tych, którym winni nieść niezbędną pomoc. Mam na myśli problem poważniejszy, z którym wciąż nie uporano się u nas satysfakcjonująco, a który tylko pozornie dotyczy kwestii formalnej, a mianowicie punktowanie publikacji. W obecnym systemie polonista za ważną monografię w języku polskim, za wymagające długoletniego wysiłku opracowanie na przykład słownika szesnastowiecznej polszczyzny lub za artykuł w pierwszorzędnym polskim czasopiśmie otrzymuje mniej punktów niż jego kolega za drobny tekst w języku angielskim ogłoszony w czasopiśmie zagranicznym ze stosownej listy. Kompleks niższości kierujący tymi, którzy przyjęli taki a nie inny algorytm wartościowania dorobku naukowego, przypomina zachowanie żony modnej z satyry Krasickiego, która wskutek błędnie pojmowanego wstydu wybrała deprecjonowanie wszystkiego, co rodzimego pochodzenia, nawet jeśli obiektywnie reprezentowało to wysoką wartość.

KOMPLEKS POSTKOLONIALNY?

Obsesja postkomunistycznej „spóźnionej modernizacji”¹³ przybrała w polityce naukowej w Polsce po roku 1989 orientację zgodną z wektorem współcze-

¹³ O problemie tym pisali między innymi Zdzisław Krasnodębski w pracy *Postmodernistyczne rozterki kultury* (Oficyna Naukowa, Warszawa 1996) w rozdziałach „Nowa modernizacja Europy Wschodniej a kulturowe dylematy postnowoczesnego Zachodu” (s. 148-166) i „Europejskie kłopoty z Europą Wschodnią” (s. 167-185) oraz – z innej perspektywy – Boris Buden w książce *Strefa przejścia. O końcu postkomunizmu* (tłum. M. Sutowski, Krytyka Polityczna, Warszawa 2012), a także, zupełnie niedawno, Magdalena Gawin w zbiorze esejów *Bilet do nowoczesności. O kulturze polskiej w XIX/XX wieku* (Teologia Polityczna, Warszawa 2014). Problem „drogi do nowoczesności” społeczeństw postkomunistycznych ogniskuje w ostatnich latach uwagę wielu środowisk w tych krajach, zarówno narodowo-konserwatywnych i religijnych, jak i lewicowo-liberalnych, jako zagadnienie domagające się wielostronnej, krytycznej analizy między innymi w kontekstach: z jednej strony, podatności tej części świata na hegemonię polityczną, ekonomiczną i kulturową Zachodu,

snej hegemonii sprawowanej w świecie nauki przede wszystkim przez pisma i wydawnictwa amerykańskie, a także zachodnioeuropejskie. Czy jednak istotnie cała światowa nauka poddaje się owej hegemonii tak kapitulanicznie i bezrefleksyjnie? Zanim wskażę wart naśladowania (lecz nie bezmyślnej imitacji) przykład, zadam inne pytanie, prawdopodobnie retoryczne: Czy urzędnicy – rekrutujący się przecież po części ze środowisk naukowych – którzy swoimi decyzjami wyznaczają trendy w strategiach publikowania, stosowanych przez autorów prac naukowych, zdają sobie sprawę z tego, jakie znaczenie dla wszystkich nauk, a w szczególności humanistycznych, jak również dla języka ojczystego ma uprawa nauki w języku narodowym? Uprzywilejowanie języków obcych winno raczej skłaniać do poszerzania pola aktywności profesjonalnej, nie zaś przybierać formę systemowego rozwiązania problemu rzekomego „zapóźnienia” polskiej nauki. Ręczne sterowanie tymi sprawami przez decydentów w gorączkowym poszukiwaniu panaceum na – mniejsza w tej chwili o to, w jakiej mierze domniemaną, a w jakiej faktyczną – niską jakość szkolnictwa wyższego w Polsce prędzej czy później zaowocuje brakiem transmisji między światem nauki a szkołą i resztą społeczeństwa, w konsekwencji zaś doprowadzi do atrofii polskiej nauki. Przyniesie zatem efekt odwrotny do zamierzonego. Postkolonialny kompleks peryferii (bo to on leży u źródła tego rodzaju polityki) – jakkolwiek zrozumiały jako zjawisko historyczne na pewnym etapie istnienia narodu – musi być poddawany krytycznej refleksji, nie zaś traktowany jako racjonalna podstawa długofalowych działań. W przeciwnym razie będzie następowało replikowanie ad infinitum modelu kulturowej podrzędności, będącego efektem ubocznym wieloletniej politycznej niesuwerenności z jednej strony, z drugiej zaś równie długiego odizolowania polskiej nauki od kontaktów z zachodnim światem i utrudnień dla absorpcji wolnej myśli. Z tą wszakże oczywistą różnicą, że rolę dawnego „centrum” przejmie kolejny, tym razem raczej wyimaginowany niż rzeczywisty hegemon, któremu dobrowolnie podporządkuje się (de facto już to robi) polska nauka – euroatlantycki „Zachód” z jego lingua franca w postaci angielszczyzny czasopism naukowych, indeksami cytowań i z otaczającym go wręcz bałwochwalczym uwielbieniem dla wszelkich projektów i przedsięwzięć międzynarodowych, podejmowanych przez stronę polską nie tyle w przekonaniu o ich merytorycznym znaczeniu, ile z przyczyn znacznie bardziej prozaicznych: z determinacji, by przeżyć w obliczu codziennej nędzy, jaka nęka naszą humanistykę.

Paradoks tej sytuacji nie polega jedynie na tym, że na poziomie deklaracji uważamy się za część owego Zachodu, podczas gdy on sam dla rządowych

a z drugiej, dążenia Rosji do odbudowy utraconej strefy wpływów. Temu ostatniemu problemowi, jako szczególnemu wyzwaniu stojącemu w najbliższych latach przed polską humanistyką, warto poświęcić osobną uwagę.

decydentów wciąż widnieje na niedosiężnym horyzoncie jako obiekt aspiracji, bezkrytycznie kopiowany i implementowany na rodzimym gruncie w różnych obszarach życia, także w dziedzinie organizacji nauki (ale już nie w kwestii wysokości nakładów na naukę, te bowiem, nie tylko w liczbach bezwzględnych, lecz także w wysokości odsetka PKB łożonego na jej rozwój, stawiają nas w ogonie cywilizowanego świata). Istota problemu tkwi również w błędnym pojmowaniu procesów modernizacyjnych, przez które muszą przejść społeczeństwa postkomunistyczne, takie jak polskie, lecz których charakter i przebieg w znacznej mierze zależy będzie od przyjęcia wstępnych założeń, a mianowicie od odniesienia się w punkcie wyjścia do czynników konstytuujących tożsamość kulturową populacji jako narodu i społeczeństwa. Dopiero na takim fundamencie można konstruować program naprawczy nauki, a także innych obszarów życia. Kwestii tej nie mogę tu szerzej rozwinąć, zasługuje ona bowiem na oddzielne studium. Chcę tylko zauważyć, że społeczeństwa wolne od postkolonialnego resentymetu, takie jak na przykład społeczeństwo niemieckie, kompleksu angielszczyzny nie mają. W odróżnieniu od polskich szkół wyższych, uczelnie niemieckich landów posiadają autonomię (sic!) w zakresie ewaluacji dorobku swoich pracowników i z reguły nie przyznają tamtejszym naukowcom punktów handicapowych za publikację w języku innym niż niemiecki, mimo że współpraca międzynarodowa jest przez nie premiowana, a niemal każdy wykształcony Niemiec może się wykazać przyzwoitą znajomością angielszczyzny. Bez względu jednak na rozmaite środki zachęcające do podejmowania takiej współpracy, za wzorcową wręcz uznać można troskę Niemców o rozwój humanistyki uprawianej w ojczystym języku, z wydatnym wsparciem ze strony rozbudowanych programów stypendialnych Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD) dla studentów, doktorantów i naukowców z zagranicy. Kto u nas słyszał o jakimś rządowym programie realnie zachęcającym zagranicznych studentów do podjęcia nieodpłatnych studiów humanistycznych – historycznych lub literaturoznawczych – w Polsce w języku polskim? Jedyną instytucją, którą sprawy te od lat obchodzą i są przez nią traktowane priorytetowo, to... amerykańska The Kosciuszko Foundation.

Nawiązując do wspomnianej na początku reklamy, postawmy sprawę jasno: minister nauki nie jest artystą. Tym bardziej nie są artystami podlegli mu urzędnicy. Nie na tym też winna polegać ich rola. Tymczasem, dyktując naukowcom, jak mają nauczać czy jakim językiem pisać sylabusy, wszyscy oni zachowują się tak, jak ów szef kuchni, podchodzący do stolika klientów i przekonujący ich, że zawartość ich talerza to dzieło sztuki. On bowiem „wie lepiej”. A przecież decyzje urzędników nie zamienia, niczym pod wpływem czarodziejskiej różdżki, zwykłego, opakowanego w plastik śledzia w aromatyczną pieczeń. Bądźmy realistami: żadne, choćby najprecyzyjniejsze definicje efektów

kształcenia nie wpłyną na jakość edukacji uniwersyteckiej w Polsce. Jakość ta, przynajmniej w zakresie studiów humanistycznych na głównych polskich uniwersytetach, nie jest zresztą wcale zła, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę niskie nakłady finansowe. Utrzymuje się na całkiem przyzwoitym poziomie. Wiara urzędników w sprawczą moc ministerialnych regulacji jest analogiczna do tej, jaką kierują się urzędnicy Ministerstwa Edukacji Narodowej sądząc, że wymóg produkowania (sic!) przez nauczycieli szkół podstawowych i średnich setek dokumentów potwierdzających rzekome wyniki kształcenia istotnie wpływa na owe wyniki. Otóż nie tylko nie wpływa, o czym dobrze wiedzą sami nauczyciele, lecz jest obecnie główną przyczyną paraliżu polskich szkół i czynnikiem wysoce szkodliwym dla procesu dydaktycznego. To nie tu zaczyna się zmiana, tak potrzebna zarówno szkole, jak i akademii oraz całemu społeczeństwu, które – jak wiadomo – jest systemem naczyń połączonych, również w aspekcie edukacji.

Standaryzacja okazała się pułapką. Tylko czekać, jak wykładowcy uniwersyteccy będą zobligowani do wykazywania osiągniętych efektów kształcenia za pomocą rozbudowanej dokumentacji, jak to ma miejsce na niższych stopniach edukacji; jak uniwersytety zamieniają się w placówki funkcjonujące pod dyktando urzędników z działów toku studiów i agend obsługujących zamówienia publiczne, między młotem nakazująco-zabraniających paragrafów a kowadłem przepisów o finansowaniu działalności uczelni, których nonsensowna implementacja paraliżuje na początku każdego roku życie uniwersytetu na kilka długich miesięcy, nie pozwalając zakupić w tym czasie długopisu czy przedłużacza ze względu na tryb stosowania ustawy o zamówieniach publicznych. Choć scenariusz ten może się wydać katastroficzny, to jednak najnowsza historia co rusz nas przekonuje, że takie scenariusze spełniają się szybciej, niż byśmy się tego spodziewali. Nie ma więc powodu, by nie wierzyć, że rzeczywistość może nas po raz kolejny zaskoczyć, zgodnie z regułą, że jeżeli coś może się wydarzyć, to prędzej czy później się wydarzy.

Nominalizm wydał zatem swój owoc. Jest to, niestety, owoc zatruty, prowadzący na manowce, z których powrót może się okazać niemożliwy, bo nie będzie już do czego wracać. W ten sposób spełnić się może wizja przedstawiona sugestywnie w powieści Ingi Iwasiów *Na krótko*, gdzie „w obliczu trendu marginalizującego ostatecznie nauki humanistyczne” te sprowadzone zostały do roli „skansenu”¹⁴. Co w tej sytuacji ma robić akademicki humanista? Jak w rozważaniach bohaterki, „nie poddawać się, udawać, że nic się nie dzieje, filologia narodowa nie dyszy ciężko za peletonem mistrzowskich dyscyplin”¹⁵? Taka strategia ma raczej krótkie nogi...

¹⁴ I. I w a s i ó w, *Na krótko*, Wielka Litera, Warszawa 2012, s. 58.

¹⁵ Tamże, s. 8.

MARZENIE?

Wracając do niefortunnej reklamy, dopiszmy do niej epilog. Student – końcowy uczestnik procesu kształcenia akademickiego – może w pewnym momencie zorientować się, że „pieczeń szefa kuchni”, którą przynosi mu „kelner”, to hucpa udająca tylko smakowite „danie”, za które zapłacił już punktami ECTS¹⁶, których nie otrzyma z powrotem, bo „reklamacje nie będą uwzględniane”. Że uniwersytet nie wywiązuje się ze złożonych zobowiązań, tnąc bezlitośnie – w efekcie polityki MNiSW – program studiów wedle przelicznika określającego liczbę oferowanych kursów i pozbawiając w ten sposób jego, studenta, prawa wyboru interesujących go zajęć. I tym podobne, i tak dalej. Może Inga Iwasiów lub inna pisarka czy pisarz wykonujący zawód akademika opíše to w swojej kolejnej powieści.

Zmienię na chwilę ton, by nie popaść w przesadną jeremiadę. Marzy mi się humanistyka, do której dostęp nie będzie reglamentowany w oparciu o nieczytelne – ani dla studentów w chwili podejmowania studiów, ani dla nauczycieli akademickich – bo zmienne zasady dysponowania punktami kredytowymi. Humanistyka, której programy dydaktyczne nie będą z roku na rok przypominały coraz krótszego batona salami, przycinanego według liczby godzin brakujących pracownikom do pensum, ale będą tworzone z uwzględnieniem wiedzy i wyników naukowych prowadzącego zajęcia. Humanistyka, której przedmiotów nauczać będą specjaliści w danej dziedzinie, nawet jeśli ma to uczelnię kosztować parę złotych więcej za godziny zleczone, nie zaś – jak w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku nauczyciele po „esenach” – przedstawiciele innych dyscyplin naprędce przysposobieni do danego kursu tylko dlatego, że władze uczelni chcą (muszą?) „obsłużyć” nimi wakaty, bo tak będzie „taniej”. Skutki takiej polityki nietrudno przewidzieć. Uniwersytet zostaje w ten sposób zamieniony w melanz oddziału edukacji wczesnoszkolnej, gdzie jeden nauczyciel „obsługuje” przekazywanie wiedzy ze wszystkich przedmiotów, i supermarketu, którego zadaniem jest sprzedać towar przez dowolnego pracownika według jednego kryterium: im niższe koszty własne, tym lepiej. Taki uniwersytet – posłużmy się terminami Pierre’a Bourdieu¹⁷ – współtworzy nowy habitus, co prowadzi do replikowania wzorów kulturowych wedle reguły: „skoro to dopuszczalne, dlaczego tak nie robić?” Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, że wzory te przeniesione potem zostaną przez absolwentów na inne dziedziny życia społecznego, z oplakanymi dla wszystkich rezultatami.

¹⁶ Europejski System Transferu Punktów (ang. European Credit Transfer System).

¹⁷ Zob. P. B o u r d i e u, *Outline of a Theory of Practice*, tłum. R. Nice, Cambridge University Press, Cambridge 1977.

Dlatego to nie biurokratyczne „standardy”, pieczołowicie wykuwane z roku na rok przez urzędników, a przez większość z nas, nauczycieli akademickich, przyjmowane niestety ze stulonymi uszami, winny wyznaczać kierunek rozwoju i cele humanistyki, ale – samo środowisko naukowe. Uniwersytet musi na powrót stać się domeną odpowiedzialnej, szeroko pojętej swobody. Dotyczy to także badań, których kryteria finansowania cechowała dotąd samozwrotność: premiowana bowiem była nie tyle odkrywczność i faktyczna ranga osiągniętych rezultatów, ile zgodność z kryteriami, przyznanie zaś lub odrzucenie wniosku opierało się często na czyjejś arbitralnej i nie do końca jasnej (ani jawnej) decyzji. Potrzeba przywrócenia swobody dotyczy także dydaktyki, z jej celami, środkami, metodami i sposobami opisu tego wszystkiego, co obecnie poddane zostało groteskowej uniformizacji, rugującej przestrzeń jakiegokolwiek indywidualności, odrębności i – finalnie – autonomii. Jakże przeczy to idei universitas, podkreślającej przecież in unum versum! Zrozumieć to winni wszyscy odpowiedzialni za stan całego polskiego szkolnictwa, także wyższego. Uniwersytet powinien powrócić do tego, czym był od początku: miejscem, którego celem jest „poszukiwanie prawdy i uczenie poszukiwania prawdy”¹⁸. Winien powrócić do modelu kształcenia artes liberales, nieskrępowanego nie tylko granicami dyscyplin (co w dzisiejszym świecie stało się już powszechne), ale i gorsetem sztywno określonych standardów, w tym także tych dotyczących liczebności grup. Tylko taką organizację wyższej edukacji, która respektuje autonomię uniwersytetu, również w zakresie nauczania, można uznać za sprzyjającą zarówno jakości kształcenia, jak i konkurencyjności na tak zwanym rynku nauki. Forsowane od lat rozwiązania w tym zakresie doprowadziły między innymi do zaprzepaszczenia jednej z najpiękniejszych i najbardziej wartościowych tradycji polskiej nauki, jaką była relacja mistrz–uczeń. Relacja ta mogła się rozwijać tylko w kameralnych warunkach, w niedużych grupach, przy założeniu zminimalizowania ingerencji ze strony aparatu administracji w strukturę zajęć i model pracy. Obecnie taki model uniwersytetu, pozwalający najpełniej realizować jego ideę, został już właściwie wyparty przez inny model, korporacyjno-zawodowy, w którym uniwersytet ze wspólnoty powiązanej nie tylko służbowymi zależnościami przekształcił się w konglomerat zantagonizowanych grup interesów i fabrykę absolwentów, otrzymujących wprawdzie dyplom, lecz niemających pojęcia o roli, jaką winni odgrywać w życiu narodu oraz społeczeństwa, i do tej roli nieprzygotowanych.

Nie tylko zresztą tę „pieczeń” zabrano nam z talerza, zastępując niechcianym „śledziem”. Zostaliśmy przez panujący system sformatowani, o czym najlepiej świadczą rezultaty eksperymentu myślowego, jaki każdy może przeprowadzić na sobie na własną rękę, zadając sobie pytania na podstawie historii znanego

¹⁸ S a w i c k i, *O uniwersytecie katolickim*, s. 31.

sobie środowiska naukowego. Sądzę, że większość czytelników zetknęła się w swoim życiu akademickim ze zdolnym, może nawet wyróżniającym się naukowcem, który rozwijał się we własnym tempie, pracował indywidualnym trybem, chadzał własnymi ścieżkami, prowadząc niekonwencjonalne badania, które może nawet szły pod prąd dominujących aktualnie trendów, wyprzedzając swój czas. Czy w dzisiejszych realiach do pomyslenia jest, by ktoś taki znalazł miejsce w strukturze uniwersytetu? Lub odwrotnie: by uniwersytet stworzył przestrzeń dla jego rozwoju? Zapewne na niejednej polskiej uczelni zabrakłoby dziś miejsca dla wybitnych uczonych, znanych nam z przeszłości, którzy odcisnęli trwale piętno na kształcie swojej dyscypliny, a może i na naszym własnym rozwoju naukowym. Ich wadą bowiem – wedle rozumowania dzisiejszych „inżynierów uniwersytetu” – była asystemowość. Pociągnijmy eksperyment o krok dalej i postawmy kolejną tezę: takich naukowców już dziś nie ma. – Ejże, czy na pewno? W ostatnich kilku latach zwolniono z polskich uczelni pięć tysięcy pracowników naukowo-dydaktycznych, stosując na ogół sprawdzony mechanizm: pretekst rotacji. W zamierzeniu ustawodawcy środek dyscyplinująco-interwencyjny, którego użycie pozostawało zawsze i formalnie nadal pozostaje w gestii władz uczelni, obrócił się na naszych oczach w instrument powszechnej opresji, nieubłagane formatujący wszystkich wedle jednej sztancy: zdążyłeś uzyskać stopień – zostajesz, nie zmieściłeś się w czasie – out. Niejeden z naszych mistrzów, wybitnych naukowców, dzisiaj by nim nie został. . .

Kończę te, zapewne nieco przydługie, refleksje myślą o konieczności odzyskania, traktowanej z całą powagą i odpowiedzialnością, autonomii uniwersytetu. Tylko ona może wyrwać go z niedorzeczności narzuconych nań przez utowarowienie procesu nauczania i całej humanistyki. Bez tej autonomii być może do pomyslenia jest w obecnych warunkach uprawianie i dydaktyka nauk przyrodniczych, o czym ze względu na niedostatek kompetencji w tym zakresie nie przesądzam. W przypadku humanistyki jednak brak autonomii oznacza degradację i uwiąd, o którego bezlitosnej progresji w naszym kraju nie trzeba chyba dziś już nikogo przekonywać.

POSTSCRIPTUM METAFIZYCZNE

Cały dotychczasowy wywód oparty był na przekonaniu o immanentnej racjonalności działań naprawczych podejmowanych wobec humanistyki metodami administracyjnymi. Racjonalność ta, choć niekoniecznie – jak wynika z powyższych uwag – przekłada się na tożsamość proponowanych przez obie strony debaty rozwiązań (w jakiej mierze debata ta faktycznie się toczy, to osobna sprawa), zakłada przynajmniej zasadniczą wspólnotę celów. By ująć rzecz najdosłowniej, wpisane jest w nią założenie, że oba ciała: polityczni

decydenci i środowisko naukowe, uznają, iż „jest źle”, i chcą, by „było lepiej”, rozumiejąc przez owo „lepiej” z grubsza to samo, nawet jeśli tylko jedna ze stron jest świadoma rozpoznania poety, że „Pomiędzy ideę / I rzeczywistość / Pomiędzy zamiar / I dokonanie / Pada Cień”¹⁹. Otóż analiza przemian, pod których ciśnieniem dusi się i rzeźbi w konwulsjach polska humanistyka – przeprowadzona z uwzględnieniem procesów, jakie zachodzą w świecie wielkich korporacji, globalnego kapitału i przepływu zasobów ludzkich, dyktowanego międzynarodowym podziałem pracy – wskazuje również, drogą dedukcji, na możliwość innej racjonalności, stojącej za nadwątlaniem naszej humanistyki i stopniowym sprowadzaniem jej do umiejętności posługiwania się językiem angielskim. Wnioski, jakie nasuwa taka konstatacja, są jednak równie przerażające, jak zakończenie cytowanego wiersza Eliota. Nie do końca mogąc uwierzyć w ich prawdziwość, lecz zarazem nie mając twardych argumentów na ich odparcie, a tym bardziej nie chcąc sprowadzać tych rozważań do poziomu Leninowskiego „kto kogo”, kończę ten esej w tonacji posępnej, z poczuciem, jak niewiele znaczą jego słowa, jak również zaklęcia demagogów i decydentów wobec nieubłaganego i bezlitosnego nurtu, który pcha wydrążoną ludzkość ku zdajacemu się nieubłaganie nadciągać końcowi.

¹⁹ Th.S. Eliot, *Wydrążeni ludzie*, tłum. C. Miłosz, w: tenże, *Poezje*, wybór M. Sprusiński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 95.